

Julian Tuwim

Wiersze dla dzieci



Julian Tuwim

**WIERSZE
DLA DZIECI**

Abecadło

Abecadło z pieca spadło,
O ziemię się hukło,
Rozsypało się po kątach,
Strasznie się potłukło:

I – zgubiło kropeczkę,
H – złamało kładeczkę,
B – zbiło sobie brzuszki,
A – zwichnęło nóżki,

O – jak balon pękło,
aż się P przelekło.
T – daszek zgubiło,
L – do U wskoczyło,
S – się wyprostowało,
R – prawą nogę złamało,

W – stanęło do góry dnem
i udaje, że jest M.

Zosia Samosia

Jest taka jedna Zosia,
Nazwano ją Zosia Samosia,
Bo wszystko „Sama! Sama! Sama!”

Ważna mi dama!

Wszystko sama lepiej wie,
Wszystko sama robić chce,
Dla niej szkoła, książka, mama
Nic nie znaczą – wszystko sama!

Zjadła wszystkie rozumy,

Więc co jej po rozumie?

Uczyć się nie chce – bo po co

Gdy sama wszystko umie?

A jak zapytać Zosi:

– Ile jest dwa i dwa? – Osiem!

– A kto to był Kopernik? – Król!

– A co nam Śląsk daje? – Sól!

– A gdzie leży Kraków? – Nad Wartą!

– A uczyć się warto? – Nie warto!

Bo ja sama wszystko wiem

I śniadanie sama zjem,

I samochód sama zrobię

I z wszystkim poradzę sobie!

Kto by się tam uczył, pytał,

Dowiadawał się i czytał,

Kto by sobie głowę łamał,

Kiedy mogę sama, sama!

– Toś ty taka mądra dama?

A kto głupi jest?

– Ja sama!

Bambo

Murzynek Bambo w Afryce mieszka,
Czarną ma skórę ten nasz koleżka.

Uczy się pilnie przez całe ranki
Ze swej murzyńskiej pierwszej czytanki.

A gdy do domu ze szkoły wraca,
Psoci, figluje – to jego praca.

Aż mama krzyczy: „Bambo, łobuzie!”
A Bambo czarną nadyma buzię.

Mama powiada: „Napij się mleka”
A on na drzewo mamie ucieka.

Mama powiada: „Chodź do kąpieli”
A on się boi, że się wybieli.

Lecz mama kocha swojego synka,
Bo dobry chłopak z tego Murzynka.

Szkoda, że Bambo czarny, wesoły,
Nie chodzi razem z nami do szkoły.

O Panu Tralalińskim

W Śpiewowicach, pięknym mieście,
Na ulicy Wesolińskiej
Mieszka sobie słynny śpiewak,
Pan Tralisław Tralaliński.

Jego żona – Tralalona,
Jego córka – Tralalurka,
Jego synek – Tralalinek,
Jego piesek – Tralalesek.
No, a kotek? Jest i kotek,
Kotek zwie się Tralalotek.
Oprócz tego jest papużka,
Bardzo śmieszna Tralalużka.

Co dzień rano po śniadaniu
Zbiera się to zacne grono,
By powtórzyć na cześć mistrza
Jego piosnkę ulubioną.

Gdy podniesie pan Tralisław
Swą pałeczkę–tralaleczkę,
Wszyscy milkną, a po chwili
Śpiewa cały chór piosneczkę:

„Trala trala tralalala
Tralalala trala trala!”
Tak to pana Tralisława
Jego świetny chór wychwala.

Wyśpiewują, tralalują,
A sam mistrz batutę ujął
I sam w śpiewie się rozpala:
„Trala trala tralalala!”

I już z kuchni i z garażu

Słysząc pieśń o gospodarzu
Już śpiewają domownicy
I przechodnie na ulicy:
Śpiewa szofer – Tralalofer
I kucharka – Tralalarka,
Pokojówka – Tralalówka
I gazeciarz – Tralaleciarz,
I sklepikarz – Tralalikarz,
I policjant – Tralalicjant,
I adwokat – Tralalokat,
I pan doktor – Tralaloktor!
Nawet mała myszka,
Szara Tralaliszka,
Choć się boi kotka
Kotka Tralalotka,
Siadła sobie w kątku,
W ciemnym tralalątku,
I też piszczy cichuteńko:
„Trala–trala–tralaleńko...”

Dyzio Marzyciel

Położył się Dyzio na łące,
Przygląda się niebu błękitnemu
I marzy:
„Jaka szkoda, że te obłoczki płynące
Nie są z waniliowego kremu...
A te różowe –
Że to nie lody malinowe...
A te złociste, pierzaste –
Że to nie stopy ciastek...
I szkoda, że całe niebo
Nie jest z tortu czekoladowego...
Jaki piękny byłby wtedy świat!
Leżałbym sobie, jak leżę,
Na tej murawie świeżej,
Wyciągnąłbym tylko rękę
I jadł... i jadł... i jadł...”

Dzieci w polu

Idą dzieci ścieżką. Z prawej strony owies,
Z lewej strony łubin żółty i pachnący,
A na łące, w dali, stadko białych owiec
I chłopczyk i piesek, stadka pilnujący.

A nad wszystkim słońce złotym blaskiem świeci,
Promieniami ciepła cały świat przenika:
I tę ścieżkę polną i idące dzieci,
Owiec, łubin, owce, pieska i chłopczyka.

Gabryś

Był raz głupi Gabryś. A wiecie, co robił?
Kiedy konie żarły, on im owies drobił.
Sitem wodę czerpał, ptaki uczył fruwać,
Poszedł do kowala, kozy chciał podkuwać.
Czapką kwiaty nakrywał, kiedy deszczyk rosił,
Liczył dziury w płocie, drwa do lasu nosił.
Zimą domek z lodu zbudował przed chatą,
„Będę miał – powiada – mieszkanie na lato”.
Gdy go słońce piekło, to na słońce dmuchał,
A za topór chwycił, gdy go gryzła mucha.
A tatusia pytał, czy mu księżyc kupi...
Taki był ten Gabryś. A jaki? No, głupi.

Dwa Michały

Tańcowały dwa Michały,
Jeden duży, drugi mały.
Jak ten duży zaczął krążyć,
To ten mały nie mógł zdążyć.

Jak ten mały nie mógł zdążyć,
To ten duży przestał krążyć.
A jak duży przestał krążyć,
To ten mały mógł już zdążyć.

A jak mały mógł już zdążyć,
Duży znowu zaczął krążyć.
A jak duży zaczął krążyć,
Mały znowu nie mógł zdążyć.

Mały Michał ledwo dychał,
Duży Michał go popychał,
Aż na ziemię popadały
Tańczące dwa Michały.

O Grzesiu kłamczuchu i jego cioci

- Wrzuciłeś, Grzesiu, list do skrzynki, jak prosiłam?
- List, proszę cioci? List? Wrzuciłem, ciociu miła!
- Nie kłamiesz, Grzesiu? Lepiej przyznaj się, kochanie!
- Jak ciocię kocham, proszę cioci, że nie kłamię!
- Oj, Grzesiu, kłamiesz! Lepiej powiedz po dobroci!
- Ja miałbym kłamać? Niemożliwe, proszę cioci!
- Wuj Leon czeka na ten list, więc daj mi słowo.
- No, słowo daję! I pamiętam szczegółowo:
 - List był do wuja Leona,
 - A skrzynka była czerwona,
 - A koperta... no, taka... tego...
 - Nic takiego nadzwyczajnego,
 - A na kopercie – nazwisko
 - I Łódź... i ta ulica z numerem,
 - I pamiętam wszystko:
 - Że znaczek był z Belwederem,
 - A jak wrzucałem list do skrzynki,
 - To przechodził tatuś Halinki,
 - I jeden oficer też wrzucał,
 - Wysoki – wysoki,
 - Taki wysoki, że jak wrzucał, to kucał,
 - I jechała taksówka... i powóz...
 - I krowę prowadzili... i trąbił autobus,
 - I szły jakieś trzy dziewczynki,
 - Jak wrzucałem ten list do skrzynki...
 - Ciocia głową pokiwała,
 - Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia:
- Oj, Grzesiu, Grzesiu! Przecież ja ci wcale nie dałam
Żadnego listu do wrzucenia!...

Idzie Grześ

Idzie Grześ
Przez wieś,
Worek piasku niesie,
A przez dziurkę
Piasek ciurkiem
Sypie się za Grzesiem.

„Piasku mniej –
Nosić łżej!”
Cieszy się głuptasek.
Do dom wrócił,
Worek zrzucił;
Ale gdzie ten piasek?

Wraca Grześ
Przez wieś,
Zbiera piasku ziarnka.
Pomaluśku.
Powoluśku.
Zebrała się miarka.

Idzie Grześ
Przez wieś,
Worek piasku niesie,
A przez dziurkę
Piasek ciurkiem
Sypie się za Grzesiem...
I tak dalej... i tak dalej...

Okulary

Biega, krzyczy pan Hilary:
„Gdzie są moje okulary?”

Szuka w spodniach i w surducie,
W prawym bucie, w lewym bucie.

Wszystko w szafach poprzewracał,
Maca szlafrok, palto maca.

„Skandal! – krzyczy. – Nie do wiary!
Ktoś mi ukradł okulary!”

Pod kanapą, na kanapie,
Wszędzie szuka, parska, sapie!

Szpera w piecu i w kominie,
W mysiej dziurze i w pianinie.

Już podłogę chce odrywać,
Już policję zaczął wzywać.

Nagle – zerknął do lusterka...
Nie chce wierzyć... Znowu zerka.

Znalazł! Są! Okazało się,
Że je ma na własnym nosie.

Rycerz Krzykalski

Oto rycerz Krzykalski.
Spójrzcie, co za mina!
Zdarzyło mu się kiedyś
Złapać Tatarzyna.

Krzyczy: „Hura!
To moja odwaga i męstwo!
Wróg w niewoli! Ja górą!
Odniosłem zwycięstwo!

Nieustraszony jestem,
Więc natarłem zbrojnie!
Hura! hura! Jam pierwszy,
Śmiałek na tej wojnie.

Któż by się mógł porównać
Z takim bohaterem?
Niech tu sam król przyjedzie
Z największym orderem!

Dla mnie wszystkie zaszczyty!
Dla mnie cześć i chwała!
Złapałem Tatarzyna!
Zdobyłem trzy działa!”

Więc krzyczą mu:
„Przyprowadź tego Tatarzyna!”
A Krzykalski: „Nie mogę
Bo mnie za łeb trzyma!”

Warzywa

Położyła kucharka na stole:

Kartofle,
Buraki,
Marchewkę,
Fasolę,
Kapustę,
Pietruszkę,
Selery
I groch.
Och!

Zaczęły się kłótnie.

Kłóca się okrutnie:

Kto z nich większy,

A kto mniejszy,

Kto ładniejszy,

Kto zgrabniejszy:

Kartofle?

Buraki?

Marchewka?

Fasola?

Kapusta?

Pietruszka?

Selery

Czy groch?

Ach!

Nakrzyczały się, że strach!

Wzięła kucharka –

Nożem ciach!

Pokrajała, posiekała:

Kartofle,
Buraki,
Marchewkę,

Fasolę,
Kapustę,
Pietruszkę,
Selery
I groch...
I do garnka!

Rzepka

Zasadził dziadek rzepkę w ogrodzie,
Chodził te rzepkę oglądać co dzień.
Wyrośla rzepka jędrna i krzepka,
Schrupać by rzepkę z kawałkiem chlebka!
Więc ciągnie rzepkę dziadek niebożę,
Ciągnie i ciągnie, wyciągnąć nie może!

Zawołał dziadek na pomoc babcię:
„Ja złapię rzepkę, ty za mnie złap się!”
I biedny dziadek z babcią nieboga
Ciagną i ciagną, wyciągnąć nie mogą!
Babcia za dziadka,
Dziadek za rzepkę,
Oj, przydałby się ktoś na przyczepkę!

Przyleciał wnuczek, babci się złapał,
Poci się, stęka, aż się zasapał!
Wnuczek za babcię,
Babcia za dziadka,
Dziadek za rzepkę,
Oj, przydałby się ktoś na przyczepkę!
Pocą się, sapią, stękają srogo,
Ciagną i ciagną, wyciągnąć nie mogą!

Zawołał wnuczek szczeniaczka Mruczka,
Przyleciał Mruczek i ciągnie wnuczka!
Mruczek za wnuczka,
Wnuczek za babcię,
Babcia za dziadka,
Dziadek za rzepkę,
Oj, przydałby się ktoś na przyczepkę!
Pocą się, sapią, stękają srogo,
Ciagną i ciagną, wyciągnąć nie mogą!

Na kurkę czyhał kotek w ukryciu,

Zaszczekał Mruczek: „Pomóż nam, Kiciu!”

Kicia za Mruczka,
Mruczek za wnuczka,
Wnuczek za babcię,
Babcia za dziadka,
Dziadek za rzepkę,
Oj, przydałby się ktoś na przyczepkę!
Pocą się, sapią, stękają srogo,
Ciagną i ciagną, wyciągnąć nie mogą!

Więc woła Kicia kurkę z podwórka,
Wnet przyleciała usłużna kurka.

Kurka za Kicię,
Kicia za Mruczka,
Mruczek za wnuczka,
Wnuczek za babcię,
Babcia za dziadka,
Dziadek za rzepkę,
Oj, przydałby się ktoś na przyczepkę!
Pocą się, sapią, stękają srogo,
Ciagną i ciagną, wyciągnąć nie mogą!

Szła sobie gąska ścieżynką wąską,
Krzyknęła kurka: „Chodź no tu gąsko!”

Gąska za kurkę,
Kurka za Kicię,
Kicia za Mruczka,
Mruczek za wnuczka,
Wnuczek za babcię,
Babcia za dziadka,
Dziadek za rzepkę,
Oj, przydałby się ktoś na przyczepkę!
Pocą się, sapią, stękają srogo,
Ciagną i ciagną, wyciągnąć nie mogą!

Leciał wysoko bocian-długonos,
„Fruńże tu, boćku, do nas na pomoc!”

Bociek za gąskę,
Gąska za kurkę,
Kurka za Kicię,

Kicia za Mruczka,
Mruczek za wnuczka,
Wnuczek za babcię,
Babcia za dziadka,
Dziadek za rzepkę,
Oj, przydałby się ktoś na przyczepkę!
Pocą się, sapia, stękają srogo,
Ciagną i ciągną, wyciągnąć nie mogą!

Skakała drogą zielona żabka,
Złapała boćka – rzadka to gratka!
Żabka za boćka,
Bociek za gąskę,
Gąska za kurkę,
Kurka za Kicię,
Kicia za Mruczka,
Mruczek za wnuczka,
Wnuczek za babcię,
Babcia za dziadka,
Dziadek za rzepkę,
A na przyczepkę
Kawka za żabkę
Bo na tę rzepkę
Też miała chrapkę.

Tak się zawzięli, Tak się nadęli,
Ze nagle rzepkę
Trrrach!! – wyciągnęli!
Aż wstyd powiedzieć,
Co było dalej!
Wszyscy na siebie
Poupadali:
Rzepka na dziadka,
Dziadek na babcię,
Babcia na wnuczka,
Wnuczek na Mruczka,
Mruczek na Kicię,
Kicia na kurkę,
Kurka na gąskę,
Gąska na boćka,

Bociek na żabkę,
Żabka na kawkę
I na ostatku
Kawka na trawkę.

Ptasie plotki

Przyszła gąska do kaczuszki,
Obgadały kurze nóżki.

Do indyczki przyszła kurka,
Obgadały kacze piórka.

Przyszła kaczka do perliczki,
Obgadały dziób indyczki.

Kaczka kacze wykwakala,
Co gęś o niej nagegała.

Na to rzekła gęś, że kaczka
Jest złodziejka i pijaczka.

O indyczce zaś pantarka
Powiedziała, że plotkarka.

Teraz bójka wśród podwórka,
Że aż lecą barwne piórka.

Rozmowa ptaków

Kukułeczka kuka,
Dzięcioł w drzewo stuka,
Jaskółeczka śmigła
Ćwierka coś do szczygła.

Szara pliszka kwili:
Ciszej, moi mili,
Boście mi piskłeta
W gniazdku obudzili.

Więc przerwały ptaszki
Leśne swe igraszki.
Pliszka dziatki tuli:
Luli, małe, luli...

Spóźniony Słowik

Płacze pani Słowikowa w gniazdku na akacji,
Bo pan Słowik przed dziewiątą miał być na kolacji.
Tak się godzin wyznaczonych pilnie zawsze trzyma,
A tu już po jedenastej – i Słowika nie ma!

Wszystko stygnie! Zupka z muszek na wieczornej rosie,
Sześć komarów nadziewanych w konwaliowym sosie.
Motyl z różną, przyprawiany gęstym cieniem z lasku,
A na deser – tort z wietrzyka w księżycowym blasku.

Może mu się co zdarzyło? Może go napadli?
Szare piórka oskubali, srebrny głosik skradli?
To przez zazdrość! To skowronek z bandą skowroniątek!
Piórka – głupstwo, bo odrosną, ale głos – majątek!

Nagle zjawia się pan Słowik, poświstuje, skacze...
„Gdzieś ty latał? Gdzieś ty fruwał? Przecież ja tu płaczę!”
A pan Słowik słodko ćwierka: „Wybacz, moje złoto,
Ale wieczór taki piękny, że szedłem piechotą!”

Skakanka

Żeby kózka nie skakała
Toby nóżki nie złamała.
Prawda!
Ale gdyby nie skakała,
Toby smutne życie miała
Prawda?
Bo figlować – bardzo miło.
A bez tego – toby było
Nudno...
Chociaż teraz musi płakać
Potem będzie znowu skakać!
Trudno!
Więc gdy cię dorośli straszą,
Że tak będzie jak z tą naszą
Koza,
Najpierw grzecznie ich wysłuchaj,
Potem powiedz im do ucha
Prozą:

„A ja znam może dwadzieścia innych kózek, co od rana do wieczora skakały i zdrowe są, i wesołe, i nic im się nie stało, i dalej skaczą! Grunt, żeby się nie bać! Tak skakać, żeby nic się nie stało! Bo inaczej, co by za życie było? Prawda?” I skacz, ile ci się podoba. Niech dorośli zobaczą, jak się to robi!

Kotek

Miauczy kotek: miau!
– Coś ty, kotku, miał?
– Miałem ja miseczkę mleczka,
Teraz pusta jest miseczka,
A jeszcze bym chciał.

Wzdycha kotek: o!
– Co ci, kotku, co?
– Śniła mi się wielka rzeka,
Wielka rzeka, pełna mleka
Aż po samo dno.

Pisnął kotek: pii...
– Pij, koteczku, pij!
Skulił ogon, zmrużył ślipie,
Śpi – i we śnie mleczko chlipie,
Bo znów mu się śni.

Dźońcio

Mój piesek Dźońcio – oto go macie –
To mój największy w świecie przyjaciel.

Codziennie w kącie kanapy siadam
I z moim Dźońciem gadam i gadam.

Gadam i gadam, a Dźońcio milczy,
Lecz mnie rozumie piesek najmilszy.

Dziś mówię: „Dźońciu! Pomówmy o tem,
Żebyś od jutra był naszym kotem.

Będziesz pił mleko i łapał myszy...”
Dźońcio udaje, że mnie nie słyszy.

„Albo zrobimy z ciebie niedźwiedzia
I będziesz w klatce żelaznej siedział!

Nie będzie szynki, schabu tłustego...”
Dźońcio udaje głuchoniemego.

„Albo zostaniesz... koniem, powiedzmy...
Chcesz owsa?...” (Dźońcio jest nieobecny).

„Jeśli nic nie chcesz, to wiesz, co zrobię?
Sklep z kiełbaskami otworzę sobie.

(Dźońcio już uszy nastawił sztorcem,
Słucha)... a z ciebie zrobię dozorcę,

Żeby nie skradli kiełbas złodzieje!”
Dźońcio się łąsi, Dźońcio się śmieje!

Słoń Trąbalski

Był sobie słoń wielki – jak słoń.
Zwał się ten słoń Tomasz Trąbalski.
Wszystko, co miał, było jak słoń!
Lecz straszny był Zapominalski.

Słoniową miał głowę i nogi słoniowe,
I kły z prawdziwej kości słoniowej,
I trąbę, którą wspaniale kręcił,
Wszystko słoniowe – oprócz pamięci.

Zaprosił kolegów słoni na karty
Na wpół do czwartej.
Przychodzą – ryczą: „Dzień dobry, kolego!”
Nikt nie odpowiada,
Nie ma Trąbalskiego.
Zapomniał! Wyszedł!

Miał przyjść do państwa Krokodyłów
Na filiżankę wody z Nilu:
Zapomniał! Nie przyszedł!

Ma on chłopczyka i dziewczynkę,
Miłego słonika i śliczną słoninkę.
Bardzo kocha te swoje słońięta,
Ale ich imion nie pamięta.

Synek nazywa się Biały Ząbek,
A ojciec woła: „Trąbek! Bombek!”
Córeczce na imię po prostu Kachna,
A ojciec woła: „Grubachna! Wielgachna!”

Nawet gdy własne imię wymawia,
Gdy się na przykład komuś przedstawia,
Często się myli Tomasz Trąbalski
I mówi: „Jestem Tobiasz Bimbalski”.

Żonę ma taką – jakby sześć żon miał!
(Imię jej: Bania, ale zapomniał),
No i ta żona kiedyś powiada:
„Idź do doktora, niechaj cię zbada,
Niech cię wyleczy na stare lata!”

Więc zaraz poszedł – do adwokata.
Potem do szewca i rejenta.
I wszędzie mówi, że nie pamięta!

„Dobrze wiedziałem, lecz zapomniałem,
Może kto z panów wie czego chciałem?”

Błąka się, kraży, jest coraz później,
Aż do kowala trafił, do kuźni.
Ten chciał go podkuć, więc oprzytomniał,
Przypomniał sobie to co zapomniał!

Kowal go zbadał, miechem podmuchał,
Zajrzał do gardła, zajrzał do ucha,
Potem opukał młotem kowalskim
I mówi: „Wiem już, panie Trąbalski!
Co dzień na głowę wody kubełek
oraz na trąbie zrobić supełek”.
I chlust go wodą! Sekundę trwało
I w supeł związał trąbę wspaniałą!

Pędem poleciał Tomasz do domu.
Żona w krzyk: „Co to?!” – „Nie mów nikomu!
To dla pamięci!” – „O czym?” – „No ... chciałem...”
– „Co chciałeś?” – „Nie wiem! Już zapomniałem!”

Słówka i słufka

Dziś po dyktandzie w szkole
Wrócił Jerzyk do domu markotny.
Ziewał, ziewał – i zdrzemnął się przy stole,
Bo i dzień był jakiś senny i słotny.
I przyszły do Jerzyka trzy słówka:
„Brzózka”, „Jabłko” i „Główka”.

I powiedziały:

- Jestem Brzózka, nie „bzuska”.
- Jestem Jabłko, nie „japko”.
- Jestem Główka, nie „głufka”.

Jak można tak znieważać urodę naszą i ród?
Trzeba się uczyć! Uważać! Na pewno opłaci się trud.

Nie pomogą tu żadne wykręty, wymówki.

I rzuciły mu na stół swoje wizytówki,
Żeby wiedział, z kim ma do czynienia.

I wyzbył się takich zwyczajów prostackich:

Jabłko z Jabłońskich,
Brzózka z Brzozowskich,
Główka z Głowackich.

– A gdy i nadal będziesz sadił błąd po błędzie,

To zrobimy z Jerzego – Jeżego,

Złego jeża kolczastego;

I co? Przyjemnie ci będzie?

Wystąpiły na Jerzyka siódme poty!

Obudził się – i do roboty!

Trudny rachunek

Szły raz drogą trzy kaczuszki,
Grzeczne, że aż miło.
Pierwsza biała, druga czarna,
A trzeciej nie było.

Na spotkanie tym kaczuszkom
Dwie znajome wyszły.
Pierwsza z krzaków, druga z sieni,
Trzecia prosto z Wisły.

Aż tu jeszcze jedna idzie
Bardzo wesolutka,
Idzie sobie, podskakuje,
A ta druga – smutna.

Siadły wszystkie na ławeczce,
Wtem dziewiąta krzyczy:
„Pięc nas było, a jest osiem!
Kto nas wreszcie zliczy?”

Na to mówi jej ta trzecia:
„Sprawa bardzo trudna!
Wyszłam pierwsza, przyszłam szósta,
Teraz jestem siódma!”

I nie mogły się doliczyć.
Nic nie wyszło z tego,
Więc do domu, choć to kaczki,
Wróciły gęsiego.

Figielek

Raz się komar z komarem przekomarzać zaczął
Mówiąc, że widział raki, co się winkiem raczą.
Cietrzew się zacietrzewił, słysząc takie słowa,
Sęp zasepił się strasznie, oswiała sowa,
Kura dała drapaka, że aż się kurzyło,
Zając zajęczał smętnie, kurczę się skurczyło.
Kozioł fiknął koziołka, słoń się cały ślaniał
Baran się rozindyczył, a indyk zbaraniał.

Cuda i dziwy

Spadł kiedyś w lipcu
Śnieżek niebieski,
Szczekały ptaszki,
Ćwierkały pieski.

Fruwały krówki
Nad modrą łąką,
Śpiewało z nieba
Zielone słońko.

Gniazdka na kwiatkach
Wiły motylki,
Trwało to wszystko
Może dwie chwilki.

A zobaczyłem
Ten świat uroczy
Gdy miałem właśnie
Przymknięte oczy.

Gdym je otworzył
Wszystko się skryło
I znów na świecie
Jak przedtem było.

Wszystko się pięknie
Dzieje i toczy...
Lecz odtąd – często
Przymykam oczy.

Lokomotywa

Stoi na stacji lokomotywa,
Ciężka, ogromna i pot z niej spływa:
 Tłusta oliwa.

Stoi i sapie, dyszy i dmucha,
Żar z rozgrzanego jej brzucha bucha:
 Uch – jak gorąco!
 Puff – jak gorąco!
 Uff – jak gorąco!

 Wagony do niej podoczepiali
 Wielkie i ciężkie, z żelaza, stali,
 I pełno ludzi w każdym wagonie,
A w jednym krowy, a w drugim konie,
 A w trzecim siedzą same grubasy,
 Siedzą i jedzą tłuste kielbasy,
 A czwarty wagon pełen bananów,
 A w piątym stoi sześć fortepianów,
W szóstym armata – o! jaka wielka!
 Pod każdym kołem żelazna belka!
 W siódmym dębowe stoły i szafy,
W ósmym słoń, niedźwiedź i dwie żyrafy,
 W dziewiątym – same tuczone świnię,
 W dziesiątym – kufry, paki i skrzynie,
 A tych wagonów jest ze czterdzieści,
Sam nie wiem, co się w nich jeszcze mieści.
 Lecz choćby przyszło tysiąc atletów
 I każdy zjadłby tysiąc kotletów,
 I każdy nie wiem jak się wytężał,
 To nie udźwigną, taki to ciężar.
 Nagle – gwizd!
 Nagle – świst!
 Para – buch!
 Koła – w ruch!

Najpierw – powoli – jak żółw – ociężale,

Ruszyła – maszyna – po szynach – ospale,
Szarpnęła wagony i ciągnie z mozołem,
I kręci się, kręci się koło za kołem,
I biegu przyspiesza, i gna coraz prędzej,
I dudni, i stuka, łomoce i pędzi,
A dokąd? A dokąd? A dokąd? Na wprost!
Po torze, po torze, po torze, przez most,
Przez góry, przez tunel, przez pola, przez las,
I spieszy się, spieszy, by zdążyć na czas,
Do taktu turkoce i puka, i stuka to:
Tak to to, tak to to, tak to to, tak to to.
Gładko tak, lekko tak toczy się w dal,
Jak gdyby to była piłeczka, nie stal,
Nie ciężka maszyna, zziajana, zdyszana,
Lecz fraszka, igraszka, zabawka blaszana.

A skądże to, jakże to, czemu tak gna?
A co to to, co to to, kto to tak pcha,
Że pędzi, że wali, że bucha buch, buch?
To para gorąca wprawiała to w ruch,
To para, co z kotła rurami do tłoków,
A tłoki ruszają z dwóch boków
I gnają, i pchają, i pociąg się toczy,
Bo para te tłoki wciąż tłoczy i tłoczy,
I koła turkocą, i puka, i stuka to:
Tak to to, tak to to, tak to to, tak to to!...

Taniec

Skoczył stołek do wiaderka,
Zaprosił je do oberka,
Dzbanek z półki – hyc na ziemię:
„Ja nie gorszy! Poproś–że mię!”

A za dzbankiem talerz skoczył,
Dokoluśka się potoczył,
Piec, choć grubas, złapał kija
I ochoczo z nim wywija.

Biedna miotła w kącie stoi,
Też by chciała, lecz się boi,
Bo jak w tańcu się rozluźni
To ją będą zbierać później.

Tańczy skrzynia i siekiera,
Aż się miotle na płacz zbiera,
Już nie może ustać dłużej
I tak płąsa, aż się kurzy.

Stół

Wyrosło w lesie drzewo potężne,
Twarde, wysmukłe i niebosiężne.
Raz przyszli drwale, drzewo zrabali,
Bardzo się przy tym naharowali.
Potem je konie na tartak wlokły,
Tak się zziajały, że całe zmokły.
Na tym tartaku warczące piły
Tak drzewo cięły, że się stępiły.
Kupił te szorstkie listwy i deski
Stolarz warszawski, Adam Wiśniewski.
Adam Wiśniewski, nie lada majster
Wziął piłę, młotek, hebel i kłajster.
Mierzył, heblował, kleił, sposobił,
Zbijał, malował, wreszcie stół zrobił.
Tyle to trzeba było mozołu
Dla sporządzenia jednego stołu.

Pstryk

Sterczy w ścianie taki pstryczek,
Mały pstryczek–elektryczek,
Jak tym pstryczkiem zrobić pstryk,
To się widno robi w mig.

Bardzo łatwo:
Pstryk – i światło!
Pstryknąć potem jeszcze raz,
Zaraz mrok otoczy nas.
A jak pstryknąć trzeci raz–
Znowu dawny świeci blask.

Taką siłę ma tajemną
Ten ukryty w ścianie smyk!
Ciemno – widno –
Widno – ciemno.

Któż to jest ten mały pstryk?
Może świetlik? Może ognik?
Jak tam dostał się i skąd?

To nie ognik. To przewodnik.
Taki drut, a w drucie PRĄD.
Robisz pstryk i włączasz PRĄD!
Elektryczny bystry PRRRRĄD!
I skąd światło?
Właśnie stąd!

Rzeczka

Płynie, wije się rzeczka
Jak błyszcząca wstążeczka,
Tu się srebrzy, tam ginie,
A tam znowu wypłynie.

Woda w rzeczce przejrzysta,
Zimna, bystra i czysta,
Biegnać mruczy i szumi,
Ale kto ją zrozumie?

Tylko kamień i ryba
Znają mowę tę chyba,
Ale one, jak wiecie,
Znane milczki na świecie.

Rok i bieda

Cztery biedy na tym świecie:

Pierwsza bieda – wiosną,
Ale słońko silniej świeci
I kwiateczki rosną.

Drugą biedę lato niesie,
A z nią troski, smutki,
Ale za to w ciemnym lesie
Smaczne są jagódki.

Trzecia bieda idzie za tą,
Trapi nas jesienią,
Ale za to w babie lato
Jabłka się czerwienią.

Czwarta bieda: wiatr, zimnisko,
Mróz odetchnąć nie da,
Ale za to wiosna blisko
I – wiosenna bieda.

Mróz

W ostry mróz chłopek wiózł
Z lasu chrust na wozie.
Skrzypi coś, oś nie oś,
Trzaska chrust na mrozie.

Tężał mróz, wicher rósł,
Pędząc jak w sto koni,
Trzeszczy wóz, trzeszczy mróz,
Chłop zębami dzwoni.

Szkapa: brr! chłop jej: prrr! –
A podwozie zgrzyta,
Gwiżdże wiatr,
śwista bat, Stukają kopyta.

Chrząst i brzęk, zgrzyt i stęk,
Hałas jak w fabryce!
Mniejszy mróz, lżejszy wóz
Przy takiej muzyce.

Kapuśniaczek

Jak wesoły milion drobnych, wilgotnych muszek,
Jakby z worków szarych mokry, mżący maczek,
Sypie się i skacze dżdżu wodnisty puszek,
Rośny pył jesienny, siwy kapuśniaczek.

Słabe to, maleńkie, ledwo samo kropi
Nawet w blachy bębnić nie potrafi jeszcze.
Ot, młodziutki deszczyk, fruujące kropki,
Co by strasznie chciały być dorosłym deszczem.

Chciałyby ulewą lunąć w gromkiej burzy,
Miasto siać na ukos chlustającą chłostą,
W rynnach się rozpluskać, rozlać się w kałuży,
Szyby dziobać łzawą i zawiłą ospą...

Tak to sobie marzy kapanina biedna,
Sił ostatkiem pusząc się w ostatnim deszczu...
Lecz cóż? Spójrz: na drucie jeździ kropla jedna.
Już ją wróbel strząsnął. Już po całym deszczu.

W aeroplanie

Miała babcia kurkę,
Kurkę–złotopiórkę,
Wesołą kokoszkę,
Zwariowaną troszkę.
Kiedys jej ta kurka
Uciekła z podwórka.
Babcia za nią truchtem drepce,
„Wracaj!” – krzyczy... – „A ja nie chcę!”

A tam zaraz blisko
To było lotnisko,
Kurka się tam zapędziła,
Aeroplan zobaczyła,
A że była dobra skoczka,
Wskoczyła tam nasza kwoczka.
Wtedy babcia – hopla! –
Też na aeroplan.

Jak nie złączą się szamotać,
Drapać, dziobać, rzucać, miotać,
Szarpać, łapać się za rygle,
To przy skrzydle, to przy śmigle.
Aż przez takie szamotanie
Motor warknął niespodzianie,
Śmigło kręci się jak fryga
I samolot w górę dźwiga.

Kurka w skrzek – babcia w płacz:
„Co się dzieje? Kurko, patrz!”
Kurka w bek, babcia w krzyk,
A on sobie kozła – fik!
Kurka gdacze, babcia płacze,
A on sobie buja, skacze,
Coraz wyżej się unosi,
Chociaż babcia błaga, prosi,

Chociaż kurka motor dziobie,
Kółka drapie, śrubki skrobie.
Aeroplan coraz chyżej,
Coraz śmieiej, coraz wyżej!
Na dół popatrzyły,
Dziwy zobaczyły:

Wielkie góry – jak kupki piasku,
Wielkie drzewa – jak krzaczki w lasku,
Rzeki – srebrne wstążeczki,
Łąki – zielone chusteczki,
Domy – klocki drewniane,
Pola – kratki malowane,
Jeziora – jak donice,
Pociągi – jak gąsienice,
Ludzie – jak mrówki,
Krowy – jak boże krówki
A kurek to nawet nie widać.
Popatrzyły do góry –
Co zobaczyły? Chmury?
Akurat!

Chmury już w dole były
I ziemię zasłoniły.

„Ach babciu – krzyczy kurka –
Na głowie stanął świat!”
Aż tu naraz w środku nieba
Księżyc zjawia się przed niemi,
Ze sto razy chyba większy
Niż ten, który widać z ziemi.
Przymrużył jedno ślipie,
A drugim groźnie łypie,
Otworzył usta jak okno.
I byłby samolot połknął,
Ale babcia zeskoczyła
I nagle się obudziła.

Patrzy – porządek wszędzie,
Nic złego się nie dzieje,

Kurka siedzi na grzędzie
I z babci się śmieje.

Pan Maluśkiewicz i wieloryb

Był sobie pan Maluśkiewicz
Najmniejszy na świecie chyba.
Wszystko już poznał i widział
Z wyjątkiem wieloryba.

Pan Maluśkiewicz był – tyci,
Tyciuśki jak ziarnko kawy,
A oprócz tego podróżnik,
A oprócz tego ciekawy.

Więc nie można się dziwić,
Że ujrzeć chciał wieloryba,
Bo wieloryb jest przeogromny,
Największy w świecie chyba.

Pan Maluśkiewicz wesoły,
Że mu się podróż uśmiecha,
Zrobił sobie z początku
Łódkę z łupinki orzecha.

A żeby miękko mu było,
Dno łódki watą posłał,
Potem z jednej zapalki
Wystrugał cztery wiosła.

Zabrał worek z jedzeniem,
Namiot i wina beczkę,
Rower i różne narzędzia –
Wszystko na tę łódeczkę.

Gramofon, radio, armatę,
Strzelbę, nabojów skrzynkę,
Futro, ubrania, bieliznę –
Wszystko na tę łupinkę.

Bo wszystko było malusie,
Tyciuchne, tyciutyneczkie,
Bo przecież sam Maluśkiewicz
Był tyciuteńkim człowieczkiem.

Wziął łódeczkę pod pachę,
Wsiadł w samolot motyli
I powiedział: – Do Gdyni! –
Po godzinie – już byli.

Zameldował się w porcie
U pana kapitana:
– Czy jest miejsce na morzu?
– Wystarczy, proszę pana!

Więc się pan Maluśkiewicz
Zaraz puścił na fale.
Płynie sobie i płynie
Coraz dalej i dalej.

Morze ciche, spokojne
I gładziutkie jak szyba,
Ale jakoś nie widać,
Nie widać wieloryba.

Wiosłuje jednym wiosłem,
Dwoma, trzema, czterema...
Już dwa tygodnie płynie,
A wieloryba nie ma.

Woła: – Cip–cip, wielorybku!
Gdzie ty jesteś, rybeńko?
Pokaż mi się choć tylko
Tyciutko, tyciuteńko...

Już dwa miesiące płynie,
A wieloryba nie ma,
Aż się zmęczył biedaczek
I coraz częściej drzemał.

O, z jaką by się rozkosza
Na ładzie wreszcie wyspa!
Aż któregoś dnia patrzy,
A przed nim jakaś wyspa.

Wziął łódeczkę pod pachę,
Wszedł na wyspę bezludną
„Odpocznę – myśli – i wrócę!
Jak go nie ma, to trudno”.

Pojeździł sobie po wyspie
Rowerem na wszystkie strony,
Trzy dni był w tej podróży
I wrócił bardzo zmęczony.

Nastawił sobie gramofon,
Popił, potańczył, pośpiewał,
Zabił komara z armaty
I chce spać, bo już ziewał.

Trzeba namiot ustawić,
Zabiera się do dzieła,
Wbija gwoździe do ziemi –
Nagle... wyspa... kichnęła!!!

Kichnęła i tak ryknęła:
– A to znów sprawka czyja?
Jaki to śmiałek gwoździe
W nos wieloryba wbija?!

– Wieloryb?! – (Pan Maluśkiewicz
Tak się na cały głos drze.)
– Nie wieloryb, głuptasie,
Lecz jego lewe nozdrze.

Pod wodą jestem, rozumiesz?
Ciesz się, żeś cało uszedł!
– A wyspa? – Jaka znów wyspa?
To mego nosa koniuszek!

Zatrząsał się pan Maluśkiewicz!

– Kto mnie tu znowu łechce?

– Nie łechcę, tylko się trzęsę
I już cię widzieć nie chcę!

Wziął łupinkę pod pachę,
Zaraz do morza się rzucił,
Szybko popłynął do Gdyni
I do Warszawy powrócił.

Teraz, gdy kto go zapyta,
Czy widział już wieloryba,
Nosa do góry zadziera
I odpowiada: – No chyba...

Warszawa

Jaka wielka jest Warszawa!
Ile domów, ile ludzi!
Ile dumy i radości
W sercach nam stolica budzi!
Ile ulic, szkół, ogrodów
Placów, sklepów, ruchu, gwaru,
Kin, teatrów, samochodów
I spacerów, i obszaru!
Aż się stara Wisła cieszy,
Że stolica tak urosła,
Bo pamięta ją maleńką,
A dziś taka jest dorosła.

Wieczór zimowy w mieście

Barwne litery na domach płoną,
Tutaj czerwono, a tam zielono,
Auta błyskają, wystawy świecą
I śnieżne płatki jak iskry lecą.

Miasto się mieni blaskami pstremi,
Aż księżyc srebrny zazdrości ziemi,
Że taka jasna i kolorowa,
I zagniewany w chmurach się chowa.

Wszyscy dla wszystkich

Murarz domy buduje,
Krawiec szyje ubrania,
Ale gdzieżby co uszył,
Gdyby nie miał mieszkania?

A i murarz by przecie
Na robotę nie ruszył,
Gdyby krawiec mu spodni
I fartucha nie uszył.

Piekarz musi mieć buty
Więc do szewca iść trzeba
No, a gdyby nie piekarz,
Toby szewc nie miał chleba.

Tak dla wspólnej korzyści
I dla dobra wspólnego
Wszyscy muszą pracować
Mój małeńki kolego.

List do dzieci

Drogie dzieci! W tym liściku
O jedno was proszę:
Żebyście się co dzień myły,
Bo brudnych nie znoszę.

Czy pod studnią, czy na misce,
W rzece, czy w sadzawce –
Ale myć się! Bo przyjadę
I sam wszystko sprawdzę!

Myć się, dzieci, myć do czysta,
Chłopcy i dziewczynki,
Bo inaczej powiem, żeście
Nie dzieci, lecz świnki!

Trzeć się mydłem, gąbką, szczotką,
W misce, w nurtach rzeczki!
Bądźcie czyste!

Z poważaniem
Autor tej książeczki

Raz, dwa, trzy

Raz!

Pierwsza rzecz - to wstawać rano!

Dwa!

Kto o krzepkie zdrowie dba,
Ten się długo myje co dzień
Mydłem, szczotką w zimnej wodzie,
Pluska, pryska, parska, rzy!

Trzy!

Trzyj ręcznikiem suchym ciało,
Żeby aż poczerwieniało.
Spraw mu, bracie, mocne wciery,
Aż we krwi poczujesz skry!

Raz - dwa - trzy!

Cztery!

Gdy chcesz czerstwej nabrać cery,
Żywym, bystrym być jak rteć,
Wiedz, że sprawią to spacerzy!

A codziennie rano:

Pięć!

Musisz się gimnastykować!
Ciało w ruch rytmiczny wprowadź,
Ćwicz je prężnie i miarowo,
Bo to pięknie, bo to zdrowo,

A dopiero potem:

Sześć!

Jeść!